

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

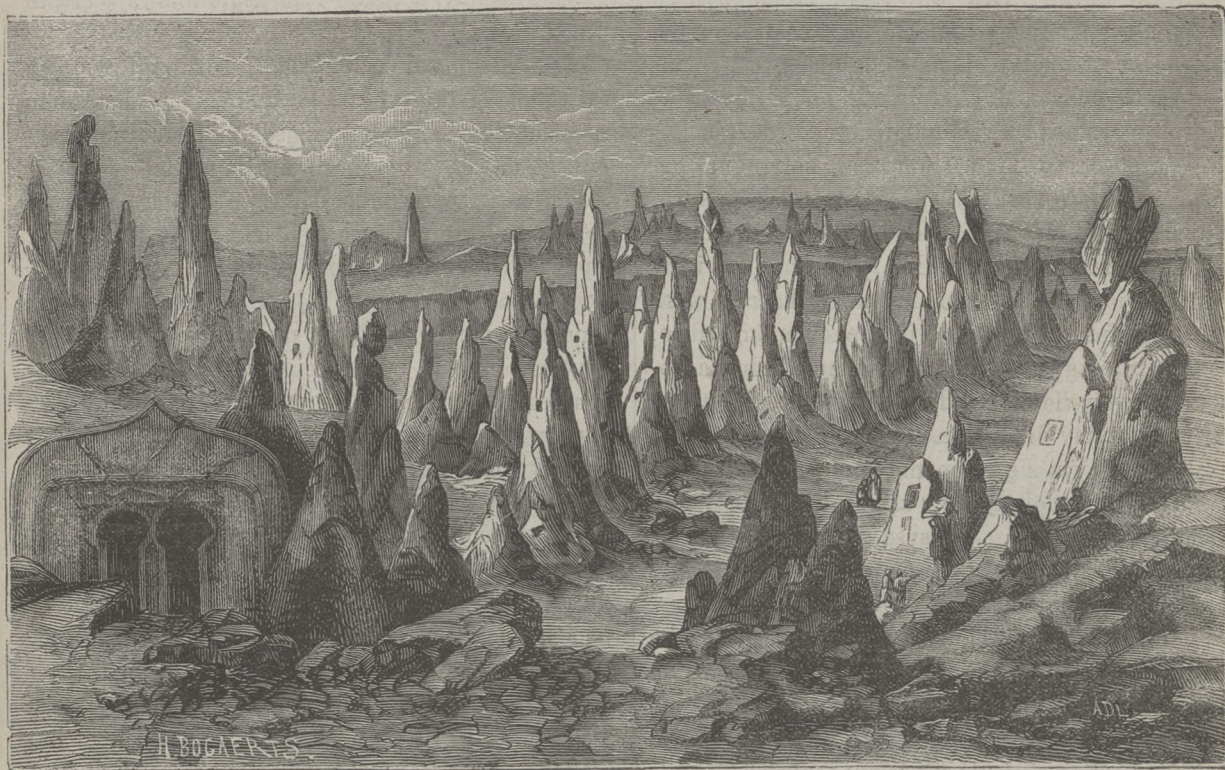
[20]

Rodzina roślin trawowatych.

Przyroda cała odżyła pod ciepłym tchnieniem wiosny, pola i łąki okryły się zielonością, możemy też znowu rozpocząć z wami, młodzi czytelnicy, pogadanki o roślinach. Zimą, gdy nie macie pod

po większej części znacie powierzchownie, nie potraficie określić, opowiedzieć, czem się trawka różni od innych ziółek, tuż obok niej wyrastających.

W roku zeszłym z wielką przyjemnością odbieraliśmy od młodych naszych czytelników i czytelniczek, na wsi zamieszkałych, liściki, w których nam donosili, że z opisów naszych nauczyli się



Miasto Urgub w Kapadocyi (str. 312).

ręką tych roślin, gdy opisów naszych sprawdzić nie możecie na żywych okazach, wolimy wybierać inne przedmioty.

Do roślin najpospolitszych, z którymi wszędzie, na każdym kroku spotkać się możecie, nawet i w mieście, należą trawy. Znacie je wszyscy, ale

rozpoznawać niektóre rodziny roślinne, jaskrowate, różowate, baldaszkowe i inne. Trawy łatwiej od innych rozpoznać się dają, trzeba jednak umieć określać odrębne ich cechy sposobem naukowym i właściwymi wyrazami.

Najpierw musimy powiedzieć parę słów o życiu

roślin w ogóle, o różnych częściach, z których się składają; zaczniemy od wschodzenia ziarna. Weźcie naprzykład ziarno fasoli; przełamawszy je, obaczycie, że się rozdzieli na dwie połówki, odstające od siebie, połączone tylko cienką powłoką, która całe ziarno okrywa. Jeśli taką całą, nieprzełamaną fasolę włożycie w ziemię, czy to w ogródku, czy w doniczce, polewać będziecie starannie, po dniach kilku obaczycie wschodzącą roślinkę. Przyrzycie się jęj uważnie, a poznacie od razu w tych listkach, co się wydobyły z ziemi, owe dwie połówki, w rozłamanym ziarnie widziane. Te dwa pierwsze liście niepodobne są nawet do tych, które później na fasoli wyrastają, dla odróżnienia nazywamy je liścieniami. Pomiedzy niemi ukaże się kielek, czyli pącuszek, z którego inne listeczki wyrosną, a gdybyście wyrwali waszą roślinkę z ziemi, obaczylibyście tam korzonek, który w dół się zagłębia, podczas gdy listeczki strzelają do góry.

Zapytacie może dla czego, rozpoczynawszy opowiadanie od trawek, przeszliśmy potem ni ztąd ni zowąd do fasoli? Oto dla tego, że pojedyncze przedmioty poznajemy najlepiej przez porównanie, wynajdując pomiedzy niemi podobieństwa i różnice. Ażeby poznać dokładnie odrębne cechy traw, musicie je zestawić z roślinami innego rodzaju.

Wszystko, co żyje i wzrasta, potrzebuje pokarmu. Młoda roślinka pierwszy swój pokarm ciągnie z tego ziarnka, z którego wschodzi. My wiemy, że ziarnka są bardzo pożywne, bo i my z tych nasion roślinnych mamy chleb, kaszę, i smaczne leguminki. Wszystkie te zapasy mąki, cukru, krochmalu, nagromadzone w ziarnach, przeznaczone są do wyżywienia młodych roślinek, my je tylko przywłaszczamy dla siebie.

Fasolka żywi się wybornie temi grubemi liścieniami, które wydobyły się z ziarna i podniosły nad powierzchnią ziemi. Wysysa je ona tak dobrze, że wkrótce zwiędłe, wycieńczone, pochylają się i opadają.

A teraz przypatrzcie się, jak wschodzi ziarnko zboża, pszenicy, owsa, jęczmienia; zboża należą do rodziny traw. Tu obaczycie wydobywający się z ziemi jeden tylko listeczek, i to zwyczajny, cienki, bo te rośliny już nie z liścieni, jak fasola, ale wprost z ziarna czerpią pierwsze swoje pożywienie. Spostrzegacie więc ważną i bardzo wyraźną różnicę pomiedzy fasolą i trawą: fasola ma dwa pierwsze liście, wschodzące razem, trawa jeden. Ztąd fasola nazywa się rośliną *dwuliścienną*, trawa *jednuliścienną*.

Poszukajmy innych cech, właściwych roślinom trawowatym. Jeśli wyrwiecie krzaczek jakiego zboża lub trawki i przypatrzycie mu się uważnie, obaczycie, że korzonek rozdziela się na liczne

włókna, rozchodzące się na wszystkie strony. Gdy ziarnko kielkować zaczyna, wydobywa się najpierw korzeń środkowy i ten zagłębia się w ziemię w kierunku pionowym, lecz główny ten korzeń, zwany także serdecznym, zamiera bardzo prędko, a za to rozwijają się liczne odnogi poboczne i tworzą wiązkę rozpostartą. Taki korzeń, zwany wiązkowatym, spotykamy u wszystkich roślin trawowatych.

Co do łodygi zbóż i traw, wiecie zapewne, że się nazywa źdźbłem; postać jęj także jest odrębna, w odstępach ma na sobie coś nakształt węzełków, zwanych kolankami, z tych wyrastają liście, które dolną swą częścią obejmują łodygę, jakby w pochewkę. Pochewka ta jest zwykle rozszarpana, liście wąskie, długie, jak wstążeczki, mają żyłki idące w kierunku równoległym, nie tak, jak często widzimy na liściach drzew i ziół rozmaitych, gdzie żyłki rozchodzą się na wszystkie strony, tworząc jakby desenie. Dodajemy jednak, że nietylko trawy, ale i inne rośliny jednoliścienne odznaczają się takimi liśćmi, a także i korzenie miewają często wiązkowate.

Najważniejszą cechą każdej roślinnej rodziny jest kwiat i tylko po kwiatach można je dokładnie rozpoznawać. Niejedna miejska panienka nie przepuszcza nawet, aby zboże kwitnąć miało. Jeżeli będąc na wsi przechadzała się po polach i zbierała kwiaty, były to bławatki, groszki, maki, ale nigdy zapewne w bukicie swoim nie miała kwiatu przynicy, żyta lub trawki, a jeśli się tam zamieszaly z innemi, nie zwracała na nie uwagi, gdyż nie jaśniały świetnemi, jaskrawemi barwami. Ale dzieci, mieszkające na wsi, widują kwitnące łany zbożowe, wiedzą o tém, że w pewnej porze lata, gdy zboża kwitną, unosi się nad łanem coś nakształt mgły. Wtedy rolnicy proszą Boga o pogodę, bo to jest właśnie pora, gdy w kwiatach zawiązują się ziarna; ta mgła, to pyłek kwiatowy, ważna niezmiernie część rośliny.

Dla tych, którzy nie czytali zeszlórocznych naszych pogadarek botanicznych, lub o nich zapomnieli, musimy tu w kilku słowach opisać główne części kwiatu. Najpierw przy nasadzie widzimy kielich, zazwyczaj zielony, do pochewki podobny. W nim dopiéro kolorowe listeczki, zwane płatkami, tworzą koronę. Pośrodku obaczycie coś nakształt niteczek opatrzonych na końcu małemi wóreczkami, które są wypełnione delikatnym pyłkiem. To są pręciki z pylnikami. Po samym środku kwiatu umieszczony jest słupek z nabrzmiąłą główką, zwaną znamieniem, mający także i przy nasadzie część zgrubiałą, a ta się nazywa zawiązkiem. Pyłek z pręcików pada na słupek, dostaje się do zawiązka i wtenczas zawiązuje się ziarnko.

Po ilości i kształcie pręcików i słupków rozpoznają się rodziny roślin. Są kwiaty, którym braknie kielicha lub korony, a nawet obu tych okryć, ale byle miały słupki i pręciki, nie przestają nazywać się kwiatami, gdyż zawsze owoce wydają.

Przejdźmyż teraz do naszych traw. Prawie w każdym kwiecie zboża lub trawy obaczycie najpierw dwie łuski, czyli plewki, najczęściej nierówne, które nazywają kielichowemi, bo przedstawiają niby kielich kwiatu. Mieści się w nich zwykle dwa, trzy, lub więcej kwiateczków, co razem stanowi mały kłosek. Niektóre z tych kwiateczków bywają płonne, ale zupełnie wykształcone mają znów po dwie plewki i te już nazywają koronowemi. Te plewki przy dojrzewaniu ziarnka szczelnie do niego przylegają i stanowią potem zwierzchnie jego okrycie. Środek każdego kwiateczka zajmują trzy pręciki z pylnikami i słupki u góry rozdwojony. Drobne kłoski osadzone są zwykle na wspólnej szypułce, jeden obok drugiego i tworzą większe kłosy. W pszenicy, w życie, obaczmy kwiatki gęsto skupione jeden przy drugim, prawie bez ogonków; to się nazywa właściwym kłosem. W owsie, w prosie, każdy kłosek mniejszy ma długi ogonek osobny, dla takich kłosów stosowniejszą jest nazwa wiechy.

Poszukajcie po łąkach kwitnących trawek, znajdziecie je przez całe lato; obaczycie wielką różnorodność kształtów w kłosach i wiechach; każdy gatunek trawy, choćby listkami nie różnił się od innych, ma jednak kwiat odrębny, po którym go znawca odróżni. Wyliczymy wam tu kilka gatunków łatwiejszych do rozpoznania, które może potrafcie z opisu naszego odszukać.

Drzączka, w języku naukowym *Briza*, ma kłoski skupione nakszałt serduszek, na długich ogonkach osadzone i drzące za najmniejszym podmuchem wiatru. Małe te kłoski zebrane są razem w dużą wiechę rozpierzchłą, u góry zwężoną w kształcie piramidy. Liście tej trawy są krótkie, a pochewki obejmujące łodygę, mają bardzo długie. Tymotejka *Phleum*, odznacza się kłosem walcowatym, o kwiatkach gęsto skupionych. Podobny do tymotejki jest wyczyniec, czyli lisi ogon, *Alopecurus*, ale go można odróżnić po pylnikach widoczniejszych, w dojrzałych kłosach rdzawo-żółtych. Perz, *Triticum repens*, owa plaga rolników, ma kłoski małe, regularnie ułożone jeden naprzeciw drugiego. Stokłosa, *Bromus*, odznacza się kłoskami licznymi, zwieszającymi się na długich szypułkach. Miellicę, *Agrostis spica-venti* poznacie po wiechach obszernych, rozpierzchłych, i długich ościach u plewek kwiatowych. Nakoniec, gdy natkniecie trawkę niepozorną, ale przyjemnie pachnącą, obejrzyjcie starannie drobne jej kwiateczki,

a jeśli w nich, zamiast trzech, jak u reszty traw, dwa tylko znajdziecie pręciki, to będzie tomka wonna *Anthoxantum odoratum*, która najwięcej aromatu nadaje zeszlęmu sianu.

Różnych gatunków zbóż opisywać tu nie będziemy, bo każdy z czytelników miejskich, będąc na wsi, zapoznać się z niemi powinien, a pierwszy lepszy wieśniak mu w tém dopomoże. Na naszych polach nie obaczycie tylko ryżu, który w cieplejszym klimacie bywa uprawiany. Bardzo pospolity w Chinach i w Indyi, udaje się także w południowej Europie. Roślina ta potrzebuje dużo wilgoci, kilka razy do roku musi być wodą zalewana, tak, że łany ryżowe wyglądają, jak bagna. Potem znowu spuszczać potrzeba nadmiar wody kanałami, ażeby ziarno dojrzało i łatwiej dało się zebrać.

Niejednemu z was zapewne na myśl przychodzi, że w krajach cieplejszych, gdzie niema ostrzej naszej zimy, pszenica i żyto powinnyby się lepiej jeszcze udawać, aniżeli u nas. W rzeczy samej w Algierze i Egipcie można je zbierać dwa razy do roku, bo tam wszystko daleko prędzej rośnie i zboże też śpieszniej dojrzewa; a ponieważ słońce prawie przez cały rok silnie przygrzewa i tylko obfitsze deszcze oznaczają pory roku, można tam zaraz po zniwach drugą siejbę rozpoczynać i mieć do roku dwa zbiory.

Jednak nie wyobrażajcie sobie, że w okolicach równika pięknie się zboże udaje. Tam ludzie muszą się żywić czém inném lub sprowadzać zboże z okolic umiarkowanych, bo nie daje się u nich hodować. Tam lato nigdy nie ustaje, żdźbło zboża ciągle się zieleni, coraz to nowe wypuszczając listki, nie ma potrzeby odradzać się co rok z nowych nasion, a więc wydaje je bardzo skąpo, a i te od zbytniego upału wysychają.

Bardzo ciekawy jest także ten szczegół, że zboże nie rośnie nigdzie w stanie dzikim. Ludzie uprawiali je od czasów niepamiętnych i tą uprawą tak je do niepoznania zmienili, że dziś uczeni nie mogą już rozpoznać tej dzikiej rośliny, której ziarno, wypielęgowane ręką człowieka, przerodziło się z upływem wieków w naszą wyborną pszenicę. Wszystkie warzywa ogrodowe i dziś rosną dziko w różnych stronach świata, gdzie jest właściwa ich ojczyzna, a chociaż staranna uprawa je zmieniła, zawsze je rozpoznać można. Nigdzie jednak, gdzie niema pól uprawianych przez ludzi, nie znaleziono rosnącej na łąkach pszenicy, tak samo, jak nie odszukano pomiędzy dzikimi zwierzętami naszych pocziwych psów domowych.

W Ameryce, aż do przybycia Kołumba, nie znano zbóż naszych, dopiero Europejczycy wprowadzili je wszędzie w okolicach umiarkowanych, gdzie się wybornie przyjęły. Za to Amerykanie

uprawiali kukurydzę, którą znów do Europy przemiesiono. Kukurydza różni się od wszystkich roślin trawowatych żdźbłem grubym i pełnym, głównie zaś szczególną budową swych kwiatów. Jedne, zebrane w wiechę u góry, mają tylko pręciki, inne, umieszczone niżej, po bokach łodygi, w gęste kłosa skupione i otulone szeroką liściastą pochwą, mają znów same słupki, a długie, nitkowate ich znamiona wyglądają, jak właki przedziwa. Łatwo się domyślić, że tylko w tych niższych kłosach, opatrzonych zawiązkami, powstają owe podłużne, walcowate kukurydze, pokryte żółtymi, gęsto osadzonemi ziarnkami.

Do tejże samej rodziny trawowatych należy trzcina cukrowa, której żdźbła znacznie grubsze i wyższe niż u naszej stawowej trzciny, przepelnione są słodkim, cukrowym sokiem. Trzcina cukrowa ma kwiat bardzo okazały, wielką, srebrzystą wiechę. Możecie sobie wyobrazić, jak pięknie wyglądać muszą obszerne łąki, pokryte temi wiechami, które się zwieszają z wysmukłych łodyg i błyszczą nakształt bogatych pióropuszków, gdy je promienie słońca oświeca. Indye wschodnie są właściwą ojczyzną trzciny cukrowej, dla tego też nazywają ją także cukrownicą indyjską. Po odkryciu Ameryki zaczęto ją tam uprawiać na wielką skalę w strefie gorącej.

I nasza trzcina pospolita, na stawach i bagnach wyrastająca, wygląda dość okazałe, czasem dochodzi 12 stóp, kwiaty jej, zebrane w wiechy, mają wszystkie cechy rodziny trawowatych, a oprócz plew, każdy kłosek opatrzony jest przy nasadzie pęczkiem włosów. W północnej Afryce i południowej Europie rośnie trzcina znacznie większa, zwana włoską lub hiszpańską, z której robią laski piękne i trwałe.

Daleko okazałszy jest bambus, właściwy strefom gorącym, najobfitszy w Indyach i na wyspach należących do Azji południowej. Wystawcie sobie trzcinę drzewiastą, grubą, wznoszącą się wyżej od drzew naszych. Łodyga bambusu rośnie niezmiernie szybko, w oczach prawie, zwłaszcza na wilgotnym gruncie. Jakże dziwnym być musi widok takiego lasu, gdzie tysiące łodyg giętkich, wysmukłych, wznosi się w ściśnionych szeregach, a wszystkie za wiatru powiewem się kołyszą, łącząc w snopy olbrzymie, rozdzielają, tworząc wyniosłe łąki. W górze znów pęki liści szeleszczą, unosząc się gdzieś w niezmiernych wysokościach, a twarde, suche łodygi, uderzając jedne o drugie, wtórują im głuchym odgłosem. Bambus służy krajowcom stref gorących do rozmaitych użytków, jako to: do budowania domków i altan, do pokrywania dachów, a cieńsze pędy do wypalania ławek, krze-

seł i koszów. Wyrabiają także i piękne laski z bambusu.

Zasługuje także na wzmiankę osobliwszy gatunek trawy, który rośnie wyłącznie na wyspach Falkland, do południowej Ameryki należących. Każdy krzak wyrasta kępiasto, wypuszczając obfite żdźbła i liście, żdźbła sterczą do góry, podtrzymując okazałe wiechy, a długie liście zwieszają się gęsto dokoła. Krzaki te rosną pojedynczo, w pewnych odstępach jedne od drugich i zdaleka wyglądają zupełnie, jak małe pagórki, lub kupki siana porozkładane na łące. Trawa ta, w języku naukowym zwana *Dactylis cespitosa*, jest dobrą paszą dla bydła, a korzonki jej ludziom służą za pożywienie.

Nasze trawniki i łąki nie mogą nam dać wyobrażenia, czém są trawy w innych częściach świata. Nigdzie one nie występują w takiej okazałości, jak w Ameryce, gdzie roślinność w ogóle nieporównanym bogactwem się odznacza; zawsze jednak, tak samo jak zboża, trzymają się stref umiarkowanych, gdyż wielkie upały nie sprzyjają rodzinie trawowatych.

Rozległe stepy Ameryki północnej, zwane *Prairie*, są to obszary niezmiernie, pokryte bujną zielonością. Liczne stada żubrów, dzikich koni, przebiegają swobodnie te rozkoszne łąki. Pod nazwiskiem stepów wyobrażamy sobie zazwyczaj płaszczynę zupełnie pustą, na której, gdzie okiem zajrzeć, nigdzie nie widać ani drzewka, ani strumyka. Ale stepy Amerykańskie zupełnie inny przedstawiają widok. Jest to przestrzeń po większej części płaska, ale poprzerzynana rzekami, strumieniami, nawet bujne lasy ciągną się brzegami wód i jakby rąbkami otaczają łąki, trawą zarosłe. Gdzieniedzie wznoszą się pagórki, piękne kotliny kryją się pomiędzy niemi, wszystko to zasłane bogatym kobiercem zielonym, a wśród traw cudne kwiaty wychylają różnobarwne swoje kielichy.

Zachwycający jest widok tego roślinnego morza, które zdaje się nigdzie nie mieć końca. Czasem tylko na końcu widnokregu z poza mgły wyziera ciemny rąbek lasu, lub strumień srebrzystą wstęgą się przewija. Kiedyniekiedy głuchy tentent przerywa ciszę pustyni; to spragnione stado żubrów pędzi jak wicher, nurza się w strumieniu, tarza w rozkosznej zieloności, gniecie, depce niemiłosiernie kwiaty i trawy. Ale niezadługo znikną ślady zniszczenia; mgła poranna orzeźwi zioła na łące, stado popędzi dalej, paszy mu nie zabraknie ani miejsca na gonitwy. łąki amerykańskie ciągną się na zachód rzeki Missisipi, przechodzą przez Teksas i opierają się o podnóże gór Skalistych. Tak jak renifery na północy mają swój

porost, reniferowym zwany, tak tu żubry mają znów ulubioną swoją trawę, która znaczne przestrzenie zajmuje i nosi nazwę trawy żubrów.

W Ameryce południowej są także stepy, rozleglejsze jeszcze, zwane Pampasami; zajmują one południową część państwa la Plata i znaczne obszary w Peru i w Buenos Ayres. Niezmiernie te przestrzenie prawie zupełnie są pozbawione lasów, tylko trawy i zioła je pokrywają. Tu wyrasta piękny gatunek trawy, hodowany dziś w europejskich ogrodach, okółcz srebrzysty, *Gynerium argenteum*. Wyobraźcie sobie źdźbła wysokie, smukłe, a każde uwieńczone wielką, srebrzystą wiechą. W około zwieszają się pęki długich liści zielonych. Cóż to za przepyszny widok być musi, gdy wiatr pochyli te giętkie łodygi, rozwieje srebrne warkocze i całe to morze roślinne faluje się, kołysze, jakby fale spienione.

I tu hasają liczne stada dzikich koni, a lekkie jelenie i strusie pędem strzały przebiegają rozległą pustynię. Tylko ciężkich żubrów nie znajdziemy już w Ameryce południowej; zastępują je liczne trzody bydła, które utrzymują zamieszkali tu osadnicy, po większej części nawpół zdziczali potomkowie dawnych Hiszpanów, znani pod nazwiskiem *gauchos*. O tych mieszkańcach puszczy czytaliście nieraz w opisach podróży. Gdzie tylko mowa o Pampasach amerykańskich, tam koniecznie musi być wzmianka o *gauchosach* i szczególnej ich broni, *lasso*. Jest to sznur z uwiązaniem po obu końcach ciężkimi kulami.

Wyobraźnia uniosła nas daleko od łąk ojczy-
stych; ale chcąc wam dać dokładne wyobrażenie o rodzinie trawowatych, musieliśmy spojrzeć na nie także i w innych częściach świata.

M. J. Z.

PODANIE O KUKULCE.

Onego czasu, gdy Herod nastawał na życie Zbawiciela, a Najświętsza Panna z dzieciątkiem Jezus uchodziła do Egiptu, siepacze ścigający przenaświętszą Rodzinę z rozkazu okrutnego króla, nie mogąc śladu jęj odszukać, nieraz pytali ptaszków i owadów, drzew i krzewów, strumyków i źródeł, czy nie widziały uciekających. Ale chociaż Matka Boska odpoczywała pod cieniem niejednego drzewa, i pragnienie gasiła u niejednego strumienia; choć z niejednym motylkiem igrało Dzieciątko, a niejednego ptaszka śpiew do snu je kołysał, żadne nie zdradziło wygnańców, każda istota z oburzeniem odwracała się od morderców.

Kukułki tylko serce nie znało litości! Zapyta-

na przez żołnierzy Heroda, azali nie widziała mę-
ża, niewiasty i dzieciątka, uniosła się w powietrze, zawiesiła nad palmowym gajem i głośno wołając, krążyła uporczywie nad drzew wierzchołkiem. Szczyściem wołanie jęj usłyszało czujne ucho Matki, która czempredzėj obudziła Ś-go Józefa i z pośpiechem, niewidziani przez niedobre ptaszę, uszli z gaju, zanim siepacze zdążyć zdołali na miejsce wskazane im przez kukułkę.

Otdąd kukułka nie ściele gniazda, jaja ukradkiem zanosi do gniazd cudzych; nie ma wprawdzie trudu wysiadania i wychowywania piskląt, ale nigdy też nie dozna pociech matki, nie usłyszysz głosu swego dziecięcia, nie dozna jego pieśczęoty, nie ucieszy się jego rozwojem.

Anastazyja Dzieduszycza.

TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

(Dalszy ciąg).

Dojście do owęj widowni dziecinnych zabaw łatwe było z powrotem, ale tam, dostawszy się do pewnej kotlinki, przyległ w nięj Marek, jak goniony zając nieruchomo, wypatrując zejścia pierwszej gwiazdy i nasłuchując głosu puszczyka, który miał w tejże chwili się ozwać wedle umowy z Orde-
gą. Ale zesłała niejedna gwiazda, i Marek zziębnięty w wilgotnej jamie niepokoić się już mocno zaczynał, gdy puszczyk ozwał się nareszcie tak doskonale po siewiemu, że kłopot stał się nowy, czyli to nie prawdziwy nocny zwiastun nieszczęścia narzeka. Z wielką wszakże ostrożnością, wprawiwszy znów w ruch gadzinowy zbolące i ztężale ciało, wyrzwał Marek najprzód, a potem popełził ku pewnemu rozłogowi, gdzie ujrzał zataczającego się, jakby z karczmy powracał, „krewniaka” pana Ordegi.

— Dobry pomysł — pomyślał Marek, dawszemu znak umówiony i pełzając dalej aż do leszczynki, gdy kozak szedł obok swobodnie, doskonale pijanego udając. Dopiero złączywszy się w leszczynce z Ordegą i krewniakiem, przekonał się Marek zdziwiony, że ten ostatni nie udawał wcale...

— Nie tęga pomoc, która sama oparcia potrzebuje — mruknął Marek do Ordegi, wskazując „krewniaka“.

— Owszem, tém lepiej, bo nie mogąc *myśleć* nie będzie też mógł się niczego co do waszności, panie bracie, *domysleć* — rzekł Ordega dowcipnie, i rozśmiał się z własnego dowcipu tak ochoczo i głośno, jakby i on nie bardzo mógł w owęj chwili

li *mysleć* o otaczającym ich niebezpieczeństwie. Marek spojrział mu w oczy, i... zdał się na woła Boską. Snadź chrzciny obchodzono suto i nie przez jedną noc tylko. W drodze do chaty, w której Marek przebierał się poprzednio, „krewniak“ zabłądził, ale nie było z tém kłopotu, bo Marek znał swoje ziemie.

— Matko, a dajcie no moje gołębie — rzekł Marek, sięgnawszy napróżno do pustego kojca, w którym umieścił za poprzednią swą w tej chacie bytnością parę gołąbków w Zbarażu wychowanych, powierzając je opiece gospodyni. Ale ta głową potrząsnęła i rzekła z ciężkiem westchnieniem:

— Obaczyli je ten oto chory tatuś nasz i zażądało im się gołębiego mięska, ta im zgotowałam one gołębie i zjedli: gołąb nie wielka rzecz, a żądanie chorego wielka, bo go może uzdrowić...

Marek opuścił ręce, namyślając się co począć, straciwszy gołębie, które miały być posłańcami, acz niezbyt pewnymi.

— Poszedł Afanas,
Po horyłku dla nas,
Zaczepił się o peń
I stał cały dzień —

Śpiewał krewniak z małoruska po polsku i dodał: — Albo chodźcie ze mną, albo ostańcie z lichem, bo ja muszę wracać, gdzie mam nakazane stać, dla waszój chorój matki nie narażę się ja na gniew mego baćki Chmielnickiego.

— Pójdźmy, pójdźmy, nad czém myślisz waszmość? — naglił Ordęga. Marek poszedł za nimi.

— Gdzie idziemy? — zapytał po chwili, miarkując mimo nocy, że błądzą.

— Prosto do baćki Chmielnickiego! — zapewnił krewniak.

— Kto wie, może on nas naprawdę tam zaprowadzi, gdzie obiecuje — szepnął Marek Ordędze, wcale nie zaspokojony zapewnieniem krewniaka.

— Tém lepiej! — zawołał Ordęga — przystąpię do tego rozbójnika Chmielnickiego tuż, i pod siódme żebro wpakuję mu nóż! cały kozaczy bunt weźmie odrazu w łeb, zbawię ojczyznę, a jeżeli mię przytém siurpryza jaka spotka, to jest jeżeli mię rozsiekają kozacy, to tém lepiej! niech wiedzą ludzie com ja zacz! niech wie *ten*, który to syczał, ostrzegając w onę chwilę, gdyście mi ramiona wässe otworzyli, bracie! — Marek zamilkł spostrzegłszy, że Ordęga w usposobieniu ducha, w jakim się chwilowo znajdował, gotów był wszystko za „tém lepiej“ dziejące się uważać. Milcząc więc szedł za głośno dyszkantem śpiewającym krewniakiem, któremu Ordęga jał wkrótce niedźwiedzim głosem basować; a idąc tak, starał się Marek wszelkimi siłami rozpatrywać w miejscowości, gotów zastosować się do wypadków. Ale w ciemnej nocy tyle

tylko mógł dostrzedz z pewnością, że mimo zapewnień krewniaka, nie szli wcale właśnie na kozacką stronę; to z jednej strony uspokajało Marka, gdyż nie do Chmielnickiego prowadzono go oczywiście, ale z drugiej strony:

— Kędyż my idziemy? — pytał sam siebie i towarzyszków, którzy rozśpiewani w coraz lepszy wpadali humor, nie słyszeli nawet jego pytań, gdy liczna czata tatarska obskoczyła z nienacka wesołych wędrowców. Marek zaledwie miał czas zmiarkować, że nie pozostaje mu nic lepszego do czynienia, jak tylko udawać równie wesołego, jak jego dwaj towarzysze. Tatarzy obścibali śpiewającą trójkę hulaszczą i wyśmiewając się z niewstrzeźliwości, którą ich religia potępia słusznie, prowadzili tak trójkę tę na urągowisko przez swój obóz, bo tam zalazł „krewniak“ śpieszący do baćka Chmielnickiego. Prowadzili, albo raczej towarzyszyli jęj tylko, stanowiąc dlań niby straż honorową, ale ani myśląc turbować sprzymierzeńców. Owszem, znalazł się natychmiast jakiś ich duchowny, który stanął na czele tej gromadki i szedł z nią przez obóz, kędy błąkał się krewniak, a szedł ów duchowny, głośno i przeciągle wzywając swych współwyznawców ku patrzeniu, a obrzydzeniu sobie niewstrzeźliwości, a raczej użycia zakazanych trunków; stał się tedy ów duchowny niby czwartym śpiewakiem.

Kwartet ten śmieszny prawdziwie wędrował sobie tedy swobodnie, gdzie go oczy niosły, a w tej wędrowce zbliżył się wkrótce pod mury Zbaraża. Serce biło gwałtownie w piersi Marka, bo na jednej z wieży ujrzał kolorowe światło, na które wedle umowy należało mu podobnym na lada drzewie lub tyce zatkniętém odpowiedzieć, gdyby znajdował się swobodnym poza nieprzyjacielskimi chmarami. Jan wiedział już tam prawdę niewątpliwie, i po swojemu do szarów dochodził z gniewu i rozpaczki, że go oszukano, aby bratu nie towarzyszył, nie widząc umówionego znaku mógł sądzić, że brat zginął lub był schwytanym, a wtedy szalenie Jan gotów był Bóg wie jakiej burdy się dopuścić z gniewu na panów, którzy bratu w zwiedzeniu go pomogli. Markowi serce biło jak młotem na te myśli, i pot go zimny oblewał; tymczasem ów duchowny wołał:

— Patrzcie! o, patrzcie wierni! do jak nikczemnego stanu doprowadza człowieka niezachowywanie przepisów księgi świętej! Czy wiecie, dlaczego stoimy tak długo pod tą nędzną lepianką, która powinna upaść pod dmuchnięciem chana naszego? Oto dla tego, że sprzymierziliśmy się z niewiernymi, których Ałłach nienawidzi, którzy są obrzydliwością w jego oczach!

— Tak powiadasz? a otóż dowiedz się, że kła-

miesz, jak pies! — krzyknął Marek, któremu niespodzianie dziwna myśl przyszła do głowy — kłamiesz! bo ta lepianka, która pod dmuchnięciem waszego chana nie pada, upadnie, gdy ja do niej strzelę, zobaczysz, że upadnie!

Tak plotąc i doskonale udając wpół nieprzytomnego od trunku, wśród śmiechu otaczających, chwycił Marek niespodzianie łuk i strzałę jednemu z najbliższych Tatarów, i szybko a skrycie wyjąwszy z zanadru i przyczepiwszy do strzały tej łuski maleńki, nagotowany dla gołębia, wypuścił z łuku poselstwo to na Zbaraż, i odetchnął, widząc przy jasno świecącym teraz księżycu, że się dostała poza mury.

— Zdrada! Ałlach! Ałlach! to fałszywy kozak! ja go Tatarem naszym widziałem w karczmie! on papier na strzale posłał teraz obłąkaniem! — taki okrzyk ozwał się w tejże chwili za Markiem, który w tak krzyżującym i napadającym nań z krzywą szablą Tatarze poznał od razu owego przyjaciela z karczmy, co to zwierzenia mu różne przeszłej nocy czynił.

— Ałlach, Ałlach! — wrzeszczeli inni Tatarzy, hurmą rzucając się na Marka.

— W imię Bogarodzicy, Stefanku, broń! — wrzasnął także Ordega do krewniaka, który na to wezwanie bez namysłu zasłonił Marka, naśladując w tém Ordegę. Ale o bronieniu się trzech ludzi przeciw otaczającej ich chmarze nie mogło przecieżyć być mowy, Marek w jednej chwili pokryty ranami rąbał spokojnie, z zimną krwią, a dzielnie, w zamiarze tylko, aby jak najdrożej sprzedać swe życie. Wszyscy trzej ci ludzie, wsparci plecami wzajem o siebie, byłiby przecieżyć w istocie dużo jeszcze krwi tatarskiej przeleli, nimby ulegli przemocy, gdyby nie świeża tatarska nawała, obca zasłębni tu wypadkowi, która z nowym wraskiem, pędząc jakby od Zbaraża, padła na walczącą gromadę, gniotąc swoich i cudzych zarazem.

Nie dawniej jak na małą godzinę przed tą chwilą, Jan Sobieski prawie nieprzytomny z gniewu i żalu o brata, pokłóciwszy się gwałtownie z wszystkimi panami, towarzyszami niewoli, i napróżno nawyglądawszy się z wieży za odpowiednią na kolorowe światło, zszedł z niej, i cały trzęsąc się od wzruszenia, wstąpił na podwórzec wśród skupionej tam panów gromadki, z zamiarem wywołania koniecznie burdy gwałtownej, jakiej z nim unikano. Ale wtém wszyscy panowie żywo zwrócili się ku niemu, a Koniepcolski rzekł, podając mu świstek papieru i strzałę:

— Macie! czytajcie! dobra nasza, to od brata waszego, jeno dziwnie przyszło, bo na tatarskiej strzale...

Jan nie słuchał więcej:

— Na tatarskiej strzale! — krzyknął — a więc on jest wzięty u Tatarów, i znajduje się tu w północnej stronie, kiedy tu strzała z pisanem jego upadła: héj, bracia, w imię Boże! kto przyjaciel Marka Sobieskiego, ratujcie go ze mną!

W mgnieniu oka paręset szabli zabrząkło i Jan wpół oszalały wypadł na czele ich bramą północną. Potrzeba było całej wymowy i powagi wodzów, aby nie dozwolić wszystkim, kto żył w Zbarażu, popędzić z Janem. Przy jasnym świetle księżycy widziano z murów, jak dzielna ta garść rycerstwa pchnęła przed sobą w zapędzie cały najbliższy stojący zastęp tatarski i jak nauwijawszy się wśród tatarstwa, w godzinę później wracała, unikając ogromnej hurmy tatarskiej, pędzącej na nią z od dali. We właściwym czasie otworzono jej bramę, w chwili dobiegania do tej bramy, którą jak raz zamknąć zdążono przed nosem rozpędzonej tłuszczy tatarskiej. Grad strzałów, kamieni i strumienie cuchnącej do picia, ale dobrej dla nieprzyjaciela wrzącej wody, przyjęły tę tłuszczy, która też po takim przyjęciu pierchnęła od murów Zbaraża, zarówno chyżo jak do nich pędziła.

A jednak, gdyby uciekający wróciło znów tatarstwo do raptownego szturm, to kto wie, czy Zbaraż nie byłby wzięty szturmem w następnej chwili, bo nawet mury jego zostały ogołocone ze straży, tak wszystko co żyło zbiegło się naokoło Jana, trzymającego w ramionach Marka nieprzytomnego. Docucono go się przecieżyć, i nawet wśród bardzo licznych ran jego nie znaleziono śmiertelnych.

— Cud! cud braterskiej miłości! serce powiodło wczas Jana, jak serce Marka ze Zbaraża wywiodło!.. — tak, głośno mówili w całym Zbarażu panowie i lud.

Przed Janową to napaścią uciekała owa świeża nawała tatarstwa, która zgmiotła gromadę własnej braci, walczącej z trzema bojownikami opartymi wzajem o siebie plecami.

Wieści przyniesione przez Marka dodały ducha obłąkanym, tak, że łatwiej już przetrzymali jeszcze dni kilka, po których tatarsko-kozacka hurma odstąpiła na skutek układów od murów Zbaraża.

Hardo przez chana zgromiony Bogdan Chmielnicki, musiał przystać na ugodę zborowską; ale ruscy panowie, wydostawszy się ze Zbaraża, a król z pod Zborowa, ani chwili nie tracąc, zajęli się gorąco przygotowaniem do dalszej wojny. Jakoż wnet na polach beresteckich stanęła pod wodzą samego króla aż stutysięczna armia szlachecka, która to niesłychana w Polsce ilość rycerstwa mogła już być pewną zwycięstwa, gdyż miała przeciw sobie tylko trzykroć od niej liczniejsze, połączone znowu zastępy Chmielnickiego i chana.

„Złamany na skrzydle swoim Chmielnicki, uciekł się po ratunek do chana, a gdy pod gwałtownym uderzeniem Polaków uległo potężne skrzydło chańskie, i sam chan o zapadającej nocy w dzikim pierzchnął popłochu, okazała się znowu bezwładność kozactwa bez Tatarów, i padła na nie sroga kłęska dnia 30 Czerwca 1651“.

Hufiec rycerski, który zmusił chana do ucieczki wraz z wyborem jego wojowników, był hufcem własnym Marka Sobieskiego, prowadzonym przezeń osobiście. Tenże hufiec wraz ze swym wodzem, jak również i drugi imienia Sobieskich, prowadzony przez Jana, odznaczył się w następujących jedna po drugiej sprawach wojennych, winnickiej i kupczyńskiej, a po trzeciej, białocerkiewskiej, w chwili gdy Marek zwycięzki, jeszcze z konia nie zsiadłszy, szablę skrwawioną ocierał, przypadł do niego posłaniec królewski, gwałtownie na radę królewską wzywając. Nastąpiła nowa ugoda, przed zawarciem której, nietylko Chmielnicki, ale ogólny głos kozactwa żądał, aby starosta krasnystawski, Marek Sobieski, był przedewszystkiem wydany do obozu kozackiego, jako zakładnik, a dopiero mając go w rękach, przezeń miano się układać z Rzeczpospolitą; bo choć byli i inni dzielni panowie, przecież zdawało się kozactwu, że dopiero trzymając w rękach Marka, będą mieli pewność. I stało się, jak żądali.

— A toż co znowu! azaliż to ja jestem waszmościna niańka, by mi na krok nie godziło się od waszmości odejść?! — tak aż huknąć z góry musiał na Jana Marek, gdy mu przyszło na zakładnika iść, rozstając się z bratem. Rozstanie wszakże było niedługie; ugoda zawarta za przyczyną starosty krasnystawskiego przydała mu nowęj powagi i zasług, ale zarazem i zajęcia. Zaledwo dwudziestotrzyletni Marek, głowa potężnego domu, pan rozległej fortuny, równie w kole radném, jak na czele prowadzonych przezeń chorągwi i pułków usarskich, był ogólnie uważany za jedną z najpiękniejszych nadziei ojczyzny, a zaufanie współbraci kładło liczne obowiązki na jego młodzieńcze ramiona. Posłowanie kilkakrotne na sejmy zajmowało resztę czasu, odrywając starostę krasnystawskiego od własnych progów.

Wszystko to sprawiło, że Jan z konieczności bywał częściej teraz niż kiedykolwiek oddalonym od boku „swego starszego“ i to właśnie w najbujniejszej chwili młodości, w której zwykłe wady ludzkie najwyraźniej występują, niby jaka odra lub szkarlatyna, i potrzebują największej nad sobą łacności i troskliwego poskramiania. Nie można jednakże zarzucić Markowi, aby dla spraw ogółu zaniedbywał rodzonego brata, bo istnieją listy

z onych czasów, zamieniane między braćmi, z których to listów jasno widać, że Marek zawsze starał się wypełniać obowiązki starszego brata, które w owych czasach podobne były bardzo do ojcowskich.

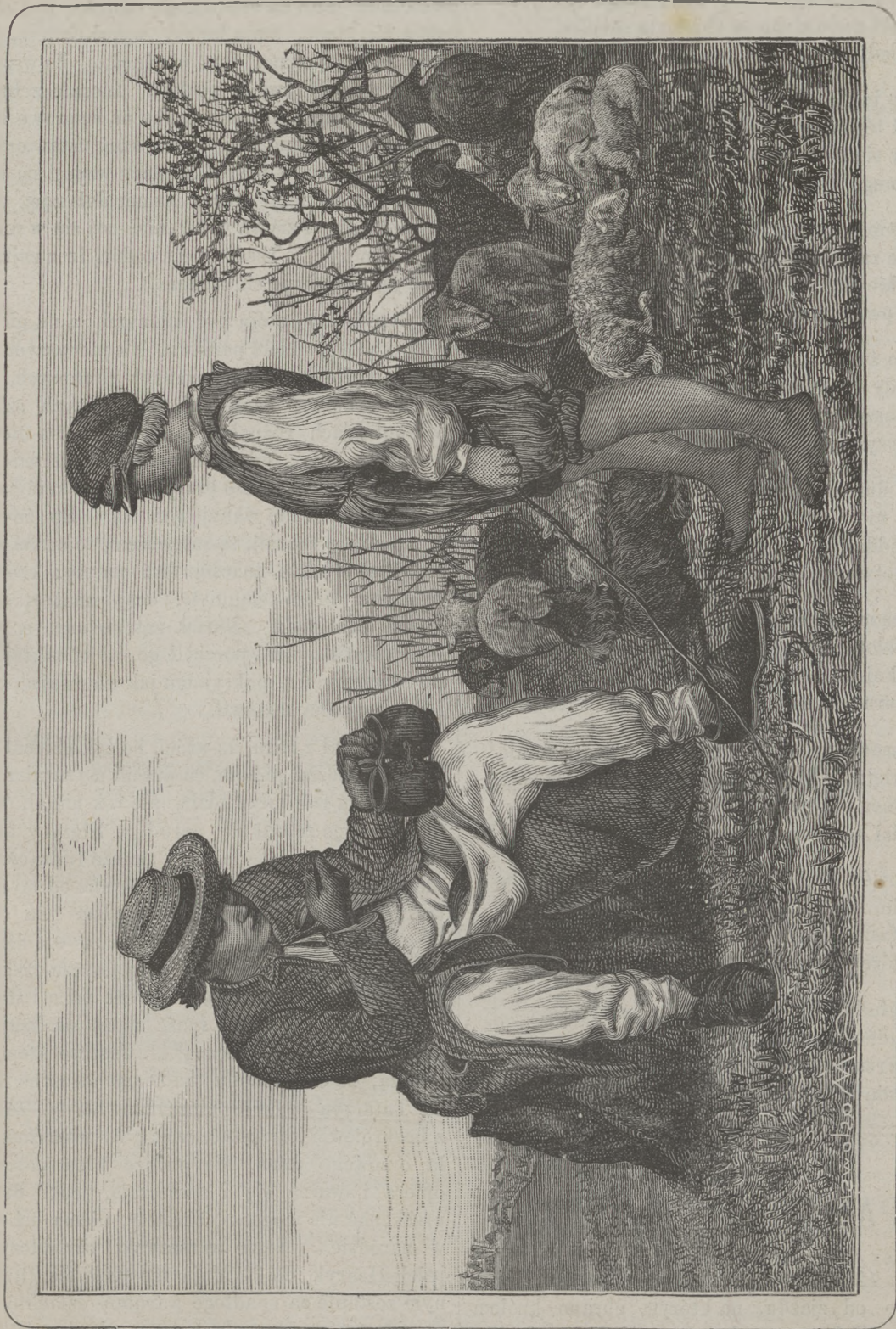
Za to, co do Jana, okazuje się ze wszelkich owoczesnych dokumentów, rzecz całkiem niespodziewana, a mianowicie ta, że młody starosta jaworowski, pomimo nigdy nie nadwreżonej miłości i szanowania dla „swego starszego“, pomimo częstego kajania się serdecznego przed tegoż powagą, zacnością i rozumem, był jednakże niepomiernie rad z okoliczności, które go zwolniły od zbyt troskliwéj braterskiej pieczy... Bezpośrednim skutkiem tychże okoliczności była zatem scena, jaka wśród szybko po sobie następujących wypadków zaszła w owymże czasie na zamku Żółkiewskim r. 1652.

Liczne i wspaniałe chorągwie rycerstwa, własne Marka i Jana, w podróznym szyku stały gotowe do drogi, u stóp Żółkiewskiego zamku, czekając na półkownika swego, starostę krasnystawskiego, który miał je poprowadzić znowu we wschodnio-południowe strony Rzeczypospolitej, aby stanąć tam pod rozkazy hetmana polnego, Kalinowskiego. Nie była to wszakże żadna bardzo niebezpieczna wyprawa. Od ugody białocerkiewskiej trwał pokój z kozakami, inne też nie groziły niebezpieczeństwa, i najweselsza pora roku panowała w rozkosznych okolicach południowego Podola, gdzie pod Batowem, niedaleko brzegów Bohu, hetman polny Kalinowski miał stać, i stał obozem.

(D. c. n.).

Miasto Urgub w Kapadocyi.

Trudno sobie wyobrazić coś tak osobliwego, jak to miasto, które przedstawia nasz rysunek. Otaczająca je okolica jest dziką pustynią, pozbawioną wszelkiej roślinności, najeżoną skałami pumeksowemi. W czasach starożytnych było to jakieś olbrzymie cmentarzysko, a późniejsi mieszkańcy usadowili się w odwiecznych grobach. Wśród ulic najdziwaczniej poprzecinanych wznoszą się ostrokregi, z kamienia śnieżnej białości, tak liczne, że wyglądają, jak drzewa w lesie. Niektóre mają po sto metrów wysokości. Są one wewnątrz wydrążone i podzielone na piętra, które znów łączą się z sobą wschodami. Miasto składa się z tysięcy takich dziwnych domów i wygląda, jakby olbrzymia kręgielnia.



NA WIEJSKA NUTE.

NA WIEJSKĄ NUTĘ.

Pastuszek ja sobie, wszyscy o tém wiedzą,
Dzień cały z bydelkiem uganiam po lesie,
Piosnki moje słyną za dziesiątą miedzą,
Bo kiedy zaśpiewam, wiatr nutę w dal niesie.

Lubię ja też grywać na pastuszym rogu,
Że aż tój muzyce dziwiają się skały,
Skały się dziwiają, a ja gram z nałogu,
Dla mego bydelka — i dla Bożej chwały.

Nie wiem co to smutek, ni jakie tam żale,
Jasne zawsze słońko świeci mi nad głową,
Ludzkie mnie wymysły nie frasują wcale,
Żyję po Bożemu, codzień jednakowo —

Skoro świt na niebie, już bydelko wiodę,
„Kiedy ranne wstają” przyśpiewuję sobie,
Na paszę, na świeżą, a broń Boże! w szkodę,
Bo krzywdy nikomu, jak żywo nie zrobię. —

Choć nie mam majątku, ni domu własnego,
Choć nieraz w podartej widzą mię odzieży,
Nie oddałbym za nic sumienia czystego,
Bogactwo do świata — do mnie cześć należy!

Nie zazdrozczę możnym pałaców ni włości,
Nad złoto, nad skarby — miłszą mi swoboda,
I spokój ten błogi, co w duszy méj gości,
I natura wiecznie zielona i młoda.

W oczach mych, jak perły, rosa się kryształy,
Jak klejnoty błyszczą polnych kwiatków roje,
A słońce przy wschodzie, jak rubin się pali,
I budzi do życia uśpione powoje...

Tęczowém skrzydełkiem lśnią barwne motyle,
A echo z gór niesie gwar jakiś bez końca...
Oj! ptaszkiem mi zostać! na jedną choć chwilę,
I w górę polecieć — do słońca, do słońca!

W południe bydelko gdy poję nad rzeką,
To cudne się snują piosenki po głowie,
I w sercu coś boli, i z oczu lzy cieką...
Ej! wołę już przestać — bo gorycz mam w mowie.

Olimpia Skibińska.

PAMIĘTNE CHWILE.

Dnia 12 Maja 1575 roku. Dwa lata zaledwie upłynęło od zjazdu, na którym obrano królem Henryka Walezyusza, dwa lata zaledwie upłynęło od elekcyi, tak poważnie, zgodnie, przykładowie odbytą na polach wsi Kamień i z jakichże to powodów zebrał się znowu naród tłumnie na obrady?..

Tam gdzie rzeka Wisła płynie przez Stężycę nad nią leżącą, na polach rozciągających się pod miastem, widać białe namioty, wysokim wałem otoczone. Tu i owdzie migają ogniska, tu i owdzie pasą się konie, stoją kolasy wyprężone, jedne wspaniałe, bogate, inne ubożuchne, bo wszystkie stany wysłały swych posłów. Licznie zebrał się naród, licznie i zbrojnie, jakby na wyprawę wojenną; między namiotami widać broń ustawioną, na wałach działa, w pośrodku placu wznosi się wielka szopa, a od niej głuchy szmer dolatuje; coś się w niej waży i zrywa widocznie, coś się w niej gotuje pilnego, to rzecz niezawodna, lecz zajrzyjmy pod jej sklepienie chróściane.

Rzędy ław stoją pod ścianami, a na nich siedzą przedstawiciele państwa. Na pierwszych miejscach możni panowie w szubach ponsowych, zielonych, sobolami podbitych, na dalszych szlachta w kontuszach różnokolorowych. Króla niewidać pomiędzy nimi; gdzie on? czemuż nie przewodzi obradom, czemuż nie przyjdzie uspokoić zatrzwożonych, dać radę wahającym się? Bo że ci, co w szopie się zebrawali, są zatrzwożeni, to widać po ich twarzach; jakże inaczej dziś patrzą: czoła ich chmurne, brwi ściągnięte, oczy smutne, troska z nich przegląda. Naród zatrzwożony, a gdzież król? Król... król porzucił go, wyjechał tajemnie do Francyi nocą, pokryjomy jak winowajca, uciekł i lud bez pana zostawił..

Lud ufał z razu, że wróci, bo tak obiecał przecież; powiedział panom, co puścili się za nim w pogoń, że za rok przyjedzie, ale rok minął, a jego niema; więc zebrał się naród w Stężycy i radzi, co począć w takięj dobie; a twarze radzących zachmurzone, a czoła ich pofałdowane od myśli natłoku, co począć, sami nie wiedzą. Co chwila w szopie gwar się podnosi, gdyż posłowie nie zgadzają się w zdaniach: jedni chcą jeszcze czekać na Henryka, drudzy wołają o nowego pana i słusznie czynią. Lada chwila spaść może na kraj jaki sąsiad, wtedy cóż poczną?... Jeszcze szeptem dochodzą, że od wschodu nadciąga straszna burza, że Tatarzyn szykuje olbrzymie hordy, że chce z bezkrólewia korzystać; więc głos większości woła o nowego pana, ale jeszcze silna partya się opiera i swarzą się i sprzecają, jedni drugich przekonać nie mogą.. Niestety, niema już zgody w narodzie.. Sejm warszawski oświadczył, że jeżeli Henryk do 12 Maja nie stawi się, to uznany zostanie za upadłego z tronu; szlachta przypomina ów wyrok wydany przez sejm i woła o rozpoczęcie elekcyi, ale prymas Uchański i dworzanie króla Henryka nie chcą zezwolić na jęj żądania.

Minął tydzień jeden, drugi i trzeci, a zebrani

posłowie jeszcze się na jedno nie zgodzili, nareszcie rozjechali się, nic stanowczego nie postanowiwszy. Ale zaledwie wrócili do domów, straszna wieść gromem w nich uderzyła: Tatarzy pod wodzą chana Giraja naszli granice Polski, była to jakby kara za zmarnowane dni wśród swarów. Chcąc winę naprawić, młodzież pośpieszyła coprędzej przeciw najeźdcom, starszyzna zaś na sejm konwokacyjny, który naznaczył nową elekcyą. Wkrótce Stefan Batory, książę siedmiogrodzki, królem okrzyknięty został po całej ziemi polskiej.

Teresa Sadwiga.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Przyrodnik Hans udzielił im półgłosem niektórych wiadomości naukowych o tych zwierzętach. Rodzaj, przewany przez uczonych *aegocerus*, mieści w sobie pięć gatunków antylop, a wszystkie odznaczają się niepospolitą pięknnością i okazałością, wszystkie też zamieszkują Afrykę południową, a zwłaszcza okolice przerzniete rzeką Pomarańczową.

Najpospolitszą jest antylopa wodna, *waterbok*, tak przewana dla tego, że pije dużo wody i trzyma się najczęściej brzegów rzek i strumieni. Wzrost ma piękny, dochodzący czterech stóp wysokości, sierść stalowo - popielatą. Silna i śmiała, antylopa ta niebezpieczna jest dla strzelca; rani ona wpada w wściekłość i broni się zawzięcie.

Antylopa brodata odznacza się grzywą i długą brodą. Obyczaje ma prawie też same, co poprzednia, ale nie tak lubi bliskość wody i częściej przebywa w okolicach skalistych, ogryzając liście akacyj, jak nasze kozy.

Antylopa końska, podobna do błękitnej, ale nie tak piękna, trzyma się wyłącznie okolic górzystych i nigdy prawie nie schodzi w doliny.

Antylopa czarna, odznacza się wzrostem okazałym, dochodzącym niekiedy pięciu stóp wysokości, rogi ma bardzo długie, także mieczowato zakrzywione, sierść czarną i połyskującą na grzbiecie i bokach, białą na piersiach i brzuchu, centkowaną na głowie i szyi.

Ze wszystkich gatunków najrzadszą jest antylopa błękitna, niektórzy nawet utrzymują, że już dziś zupełnie jest wytępiona. Trzeba jednak dodać, że wszystkie te gatunki są dość rzadkie, a ztąd mało znane przyrodnikom. Antylopy te nigdy nie wędrują licznymi stadami, ukazują się tylko parami,

lub małemi gromadkami. Trzy gatunki, znane pod nazwą antylopy końskiej, czarnej i błękitnej, bardzo są podobne do siebie i możnaby nawet przypuszczać, że to jest jeden gatunek, gdyż barwa sierści może się zmieniać stosownie do wieku i pory roku.

Nie sądzimy jednak, ażeby młodzi myśliwi bardzo uważnie słuchali tych szczegółów naukowych, patrząc na piękne antylopy.

XV.

Polowanie.

Gromadka, pasąca się na łące, składała się z siedmiu sztuk. Stary samiec, odznaczający się najokazalszym wzrostem i najdłuższymi rogami, postępował naprzód, jako przewodnik i opiekun całej rodziny. Zmierzał widocznie do małego akacyowego lasku, w którym płynął przejrzysty strumień. Młodzi myśliwi tam właśnie ukryli się pomiędzy drzewami i zaczęli się naradzać, co dalej począć mieli; pomimo wielkiej swój niecierpliwości, chcieli działać roztropnie i ostrożnie, aby nie wypuścić z rąk pożątej zwierzyny.

Ale nie mieli czasu nic postanowić, gdy jeden z psów, młody roztrzępaniec niezupełnie jeszcze wytresowany, wyskoczył nagle z gęstwiny, nie czekając rozkazu i zaczął szczeleć zajadle na antylopy, które natychmiast się zawróciły i w inną stronę odbiegły pod wodzą samca przewodnika. Nie było już co myśleć o podstępach myśliwskich, nie nie pozostawało, tylko puszczać się jak najśpieszniej w pogoń. Wspaniałe był widok tej pogoni: antylopy pędziły jak wiatr przez błonia, psy pomykały niemniej szybko za niemi, a jeźdźcy lecieli, jakby na skrzydłach, jeden za drugim.

Wkrótce jednak rozdzielili się; małe koniki Janka i Klaasa nie mogły się utrzymać na równi z dzielnymi rumakami starszych i dwaj malcy zostali w tyle. Przyrodnik miał dobrego konia, ale nie wprawnego do szybkiej jazdy, musiał też niezadługo zwolnić biegu. Arend mógłby był dotrzymać placu towarzysom, bo koń jego nie ustawał w pędzie, nie miał jednak ochoty wysilać się zbytecznie i sam powstrzymał wierzchowca. Upał był dnia tego nieznośny i Arend znużony, zgrzany, przystanął w cieniu akacyj, a zdjąwszy rękawice wojskowe, zaczął się niemi wachlować.

Henryk i William nie ustali tak prędko w myśliwskim zapale, a niemającym też bodźcem dla nich było to uczucie współzawodnictwa, o którym wspominaliśmy już nieraz. Obaj mieli wyborne wierzchowce, chociaż niepodobne wcale do siebie. Koń Henryka był pochodzenia arabskiego, karęj maści, niezbyt rośły, ale nadzwyczaj zgrabny; nie

był jednak czystej krwi arabem, posiadał więc wszystkie zalety tej rasy, a więc i siły i wytrzymałości na trud i niewygodę.

Wierzchowiec grubasa Williama wyglądał całkiem odmiennie, z wielu względów podobny był do swojego pana. Duży i niezgrabny, chudy, jak szczapa, nogi miał wysokie i kościste, szyję grubą, głowę ogromną, kark garbaty, jak u girafy. Cała jego postać przypominała bardzo to zwierzę i młodzieńcy wszyscy jednogłośnie przezwali konia Williama girafą. A jednak pomimo tej niepozornej powierzchowności, William nie zamieniłby, był swojego wierzchowca za najpiękniejszego rasowego rumaka, gdyż poczciwe zwierzę posiadało mnóstwo przymiotów. I William nie miał obiecującej powierzchowności; niktby się nie domyślił, patrząc na niego, co to za dzielny był chłopak z tego niezgrabnego grubasa. Trudno też było odgadnąć, że ociężała szkapka umiała w potrzebie prawdziwych cudów dokazywać. Nieraz już młody myśliwy świetne łowy odbywał na jej grzbiecie, gonił antylopy i kwagi, prześcigał najlepszych jeźdźców i różnych bohaterskich czynów dokonywał. Niedziw też, że nasz William tak wysoko cenił swojego wierzchowca, który zupełnie na to zasługiwał.

Henryk także lubił niezmiernie dzielnego swego karosza i nieraz dwaj młodzieńcy wiedli spór o przymioty i wartość swoich koni. Co do piękności, girafa nie mogła zapewne współzawodniczyć z wysmukłym i zgrabnym arabem, ale William żartował sobie z zalet powierzchownych i śmiało utrzymywał, że niezgrabne jego konisko nie ma sobie równego na całym świecie.

Nigdy jeszcze dotychczas nie nadarzyła się obu współzawodnikom tak wyborna sposobność wyprobowania i porównania wszystkich przymiotów swoich wierzchowców. W tej chwili, pędząc obok siebie z szybkością wichru, obaj pomyśleli jednocześnie, że kwestya sporna dziś rozstrzygniętą być musi. William w głębi duszy był przekonany, że ulubiona jego girafa odniesie zwycięstwo, a Henryk pochlebiał sobie, iż świetny tryumf przypadnie w udziale pięknemu karoszowi. Tak jeden jak drugi umiał doskonale konia zażywać, nie wysilając go w pierwszej chwili i stopniowo przyspieszając biegu. Gdyby wyścigi odbywały się na mniejszej przestrzeni, Henryk mógłby być rzeczywiście pewnym być zwycięstwa. Ale antylopy wyprzedziły ich ogromnie i zanosilo się na to, że ich daleko zaprowadzą; to też doświadczony jeździec, znający siły i wytrzymałość girafy, powstrzymał karego w zapale, ażeby czasem nie ustał przed czasem.

Dwaj jeźdźcy pędzili obok siebie, psy biegły

przed nimi, lecz jeszcze ogromna przestrzeń dzieliła ich od antylop, które pędem strzały pomykały przez błonia, przebiegły obok małego lasu akacjowego, nie próbując nawet się w nim ukryć; zapewne tak samo jak jeleń, gdy ucieka od pogoni, miał zamiar dotrzeć do wody i w niej szukać schronienia.

Nareszcie psy zbliżyły się znacznie do uciekających zwierząt i te, przerażone głośnem ich ujadaniem, rozpierchły się nagle na wszystkie strony i biegły dalej w różnych kierunkach. Teraz zmieniła się postać rzeczy, psy rozbiegły się za zwierzyną i poczęły się kręcić tam i owdzie, usiłując dogonić antylopy, które także biegały w kółko oszalałe, czując się ze wszystkich stron zagrożone.

Dwaj myśliwi musieli szybko uczynić wybór pomiędzy niemi. Rozłączać się nie mieli ochoty, gdyż każdy o tём głównie myślał, aby wyprzedzić drugiego. Nawet konie zdawały się spoglądać na siebie z podełba i wyzywać się do walki, przyspieszając biegu. Obaj młodzieńcy bez namysłu wybrali starego samca i puścili się w pogon za nim. A kozieł zapomniał zupełnie o gromadce, której był przewodnikiem przed chwilą, nie oglądał się wcale, ale pędził w prostej linii przez równinę, za nim pomknęły dwa najlepsze psy, a za psami pogonili myśliwi, wypuszczając rumaki, co mogły wyskoczyć.

XVI.

P o g o ń.

Wspaniałe to było polowanie! Stary samiec nie stracił głowy tak, jak reszta gromadki, biegł zawsze w jednym kierunku, zdążając do rzeki, którą zasłaniał w oddaleniu ciemny rąbek lasu. Miał jeszcze nie mało drogi do przebycia, ale nie ustawał, i zawsze w tej samej odległości biegł przed psami, a dwaj jeźdźcy trzymali się na jednej linii, obok siebie.

Trudno jest odgadnąć myśli psów. Sądzymy jednak, że pomiędzy dwoma ogarami, które w tej chwili goniły za antylopą błękitną, musiało także istnieć pewne uczucie współzawodnictwa, bo widocznie każdy z nich radby był ze skóry wyskoczyć, byle tylko prześcignąć drugiego. Jeden z tych psów należał do Henryka, drugi do Williama, a zalety ich także nieraz bywały przedmiotem zawziętych sporów. Wszystko tedy sprzyślało się przeciw nieszczęsnej antylopie, szalone wyścigi jeźdźców, koni i psów, odbywały się na jej zgubę. Tryumf jednej lub drugiej strony zawsze na niej miał się skrupić.

Nie sądzcie jednak, aby choć cień brzydkiej

zawiści istniał pomiędzy dwoma młodzieńcami. To uczucie współzawodnictwa pochodziło ze szlachetnej emulacji, nie mogło się nawet zazdrością nazywać. Każdy z nich lubił swego konia i swego psa, pragnął je w najlepszym świetle wystawić, każdy też dbał o własną myśliwską sławę i radby był zdobyć głowę i rogi pięknej antylopy.

Koźle pędził ciągle, jak wichur, w szalonych susach wyciągał się w powietrzu, głowę wznosił do góry, rogami sięgając grzbietu; przepyszny to był widok. Kiedy niekiedy udawało mu się oddalić od psów, ale te wtenczas dobywały nowych sił i znów ujadły tuż przy nim; jeźdźcy trzymali się ciągle w jednej mierze, o paręset kroków od psów. Pot, spływający obficie ze skóry antylopy, nadawał jej barwę prawie czarną, na grzbiecie jej i szyi białeły wielkie płyty piany, z rozwartej paszczy zwieszał się język czerwony jak krew, dyssała, jak miech kowalski, ale jeźdźcy słyszeć tego nie mogli, gdyż wierzchowce ich zmęczone głosem sapaniem głużyły wszystkie inne odgłosy.

Czas upływał, a szalona gonitwa nie ustawała, przeciwnie, i antylopa i jej napastnicy co chwila zdawali się przyspieszać biegu. Las był już niedaleko, drzewa mogły zasłaniać rzekę wielką, a w ten czas antylopa wzięłaby z pewnością górę nad nimi. Zwierzę to pływa doskonale, a raz dopadłszy głębokiej wody, z łatwością uszłoby przed pogonią i nasi myśliwi zostaliby na koszu. Myśl ta dodała im skrzydeł, śpieli konie ostrogami, i postanowili wszystkie siły wyteńczyć, aby polowanie doprowadzić do szczęśliwego końca.

Dzielne rumaki jeszcze przyspieszyły biegu, ale podczas gdy kary arab w lekkim galopie przeskakiwał przeszkody po drodze, ogromna girafa potknęła się na małym pagórku i całym ciężarem runęła na ziemię, pociągając jeźdźca za sobą. Henryk spostrzegł tylko, że koń jego wyprzedził girafę, lecz pędząc jak szalony, nie odwrócił się wcale i nie widział, co się stało z Williamem, chociaż usłyszał jakiś łoskot za sobą. Nie mógł jednak na nic zważać w tej chwili, antylopa pochłaniała całą jego uwagę, pobudzał konia do biegu głosem i ostrogą, a kary jak strzała pomykał, z wyciągniętą szyją i rozwianą grzywą.

Już antylopa dobiegała do lasu, gdy psy dopadły jej wreszcie i rzuciły się na nią zajadle. Biedny William! nie wiodło mu się wyraźnie dnia tego. Piękny ulubiony jego ogar, ugodzony ostrymi rogami antylopy, jęknął przeciągle i padł bez życia na trawę. Byłby niezawodnie podobny los spotkał i psa Henryka, ale młodzieniec nadbiegł szybko i spłoszył antylope, która co prędzej uciekać zaczęła i wpadła do lasu, a pies puścił się za nią i oboje znikli w gęstwinie.

Henryk słyszał tylko chrzęst łamiących się gałęzi i szczenie psa, i kierował się za tym odgłosem. Nie mógł już jednak pędzić tak szybko pomiędzy drzewami, co chwila zatrzymywać się musiał i nasłuchiwać, aby nie stracił tropu zwierzęcy. Ale po chwili wszystko umilkło w lesie, pies przestał się odzywać, a nasz myśliwy zmartwiony, zdyszany, sądził, że biedny ogar zginął marnie, tak samo, jak pies Williama, i już zabierał się do odwrotu. Zatrzymał konia, raz jeszcze słuch wyteżył i obejrzał się na wszystkie strony, gdy wtém usłyszał nagle plusk potężny w pobliżu i zwróciłszy konia w tę stronę, obaczył przed sobą rzekę, w którą wskoczyła antylopa. Dzielny pies rzucił się za nią do wody.

Antylopa pływała daleko lepiej od ogara, nasz myśliwy westchnął ciężko, czuł, że ta piękna zwierzęca stracona była dla niego. A jednak rzeka była blisko, mógł jeszcze spróbować, czy nie uda mu się celnym strzałem trafić antylope w czasie wodnej przeprawy, zanim dosięgnie drugiego brzegu.

Henryk nie stracił ani chwili, wypuścił znowu konia i w mgnieniu oka stanął na brzegu rzeki. Zanim jednak zdążył zsiąść z konia i podnieść broń, już antylopa przepłynęła rzekę i wyskoczyła na wybrzeże po drugiej stronie. Nasz myśliwy nie cofnął się jednak, wymierzył, strzelił i trafił w sam grzbiet zwierzęcia. Potok krwi oblał ciemną skórę antylopy, która zachwiała się na nogach, przykłękała i pozostała nieruchoma na brzegu rzeki.

O, co za radość! Te piękne rogi miały być zdobyczą Henryka.

XVII.

Uparta walka.

Tak przynajmniej pomyślał sobie nasz myśliwy, widząc, że antylopa nie mogła uciekać, a pies wyskoczył z wody i zmierzał prosto do niej. Sądził więc Henryk, że dość będzie schylić się teraz i zabrać te rogi, któremi tak gorąco pragnął ozdobić myśliwskie swoje trofea. Lecz wnet się pokazało, że jeszcze nie wszystkie trudności były pokonane. Antylopa, widząc zbliżającego się psa, zerwała się na nogi, odepchnęła go silnie uderzeniem kopyta i powtórnie wskoczyła do wody. Pies nie dał za wygraną, rzucił się za nią i pochwyił ją zębami za kark. Antylopa odrzuciła go gwałtownym poruszeniem, potem śmiało zwróciła się do upartego napastnika i zaczęła go bić raz po raz rogami. Pies spostrzegł, że to nie przelewki, szybko zanurzył się w wodę, wypłynął

dalej, antylopa dosięgła go znowu, on po raz drugi dał nurka i szczęśliwie uszedł niebezpieczeństwa.

W miejscu, gdzie się odbywała ta zacięta walka, woda zarumieniła się od krwi, płynącej z ran obu zwierząt, gdyż i ogar był okaleczony, ostre rogi antylopy w kilku miejscach przebiły czarną jego skórę. Henryk uwiązywał spokojnie konia do drzewa, gdy odgłos tej walki doszedł jego uszu. Odwrócił się żywo, a widząc, co się działo, wypuścił z rąk uzdę, nabił co prędzej strzelbę i poskoczył na brzeg rzeki.

Całe wybrzeże porośnięte było wierzbina, która nie zasłaniała mu widoku rzeki, póki był na koniu, lecz teraz nie mógł dostrzedz, ani psa, ani antylopy, słyszał tylko, że walka się przedłużała, gdyż pies ujadał i skomlał, a plusk wody zdradzał gwałtowne ruchy antylopy. Zapaśnicy zbliżali się do brzegu. Henryk biegł szybko, natrafił na ścieżkę, wydeptaną pomiędzy wierzbami przez dzikie zwierzęta, idące pić wodę w rzece; po obu stronach gałęzie drzew pochylały się do siebie, tworząc ponad ścieżką zielone sklepienie. Nasz myśliwy zapuścił się w to wązkie przejście, antylopa upatrzyła je także, i dotarwszy do brzegu wyskoczyła w tym miejscu i spotkała się oko w oko z Henrykiem.

Drzewa po obu stronach rosły tak gęsto przy sobie, że niepodobna było w bok się rzucić, zresztą nie było nawet na to czasu, strzelec i zwierzę zbliżyli się do siebie w tak szybkim pędzie, że starcie było nieuniknione, a w tym razie najniebezpieczniejsze było położenie strzelca. Henryk miał wprawdzie w ręku nabitą strzelbę, ale zbliżenie antylopy nastąpiło tak gwałtownie, że nie zdołał dobrze wycelować, strzał chybił; kula zadrasnęła tylko skórę zwierzęcia, doprowadzając je, do większej jeszcze wściekłości. Antylopa pochyliła łeb i biegła prosto na Henryka, grożąc mu temi pięknymi rogami, które niedawno już za własność swoją uważał.

Jeszcze chwila i biedny Henryk byłby niezawodnie zginął, gdyby te straszliwe ostrza w niego ugodziły, uratowała go jednak niezwykła przytomność umysłu. W mgnieniu oka rzucił strzelbę o ziemię, a gdy antylopa już zbliżyła się tak, że go dosięgnąć miała, on jednym potężnym susem wskoczył jej na grzbiet. Zwierzę zachwiało się pod tym ciężarem i gwałtownym ruchem zrzuciło zuchwalca na ziemię, Henryk zerwał się szybko na nogi, antylopa biegła znowu prosto na niego. Tą razą byłoby niezawodnie po nim, gdyby nie pomoc poczciwego psa, który przypadł w tej samej chwili i pochwyił za gardło rozjuszoną antylopę.

Wściekłość jej zwróciła się teraz do ogara, któ-

ry zębami wpił się w jej gardło i zawisł całym ciężarem na niej. Zaczęła skakać, jak szalona, bić kopytami o ziemię, a gdy udało się jej oderwać psa od gardła, zamierzyła się na niego rogami i byłaby go niezawodnie zabiła na miejscu, gdyby znowu Henryk nie pośpieszył z ratunkiem wiernemu psu. Młodzieniec nie myślał wcale ratować się ucieczką, nie miał strzelby w ręku ale wyjął z pochwy wielki nóż myśliwski, śmiało poskoczył do antylopy, schwycił ją lewą ręką za róg, a prawą nóż swój po samą rękojęść utopił w jej piersi. Widocznie trafił w samo serce, gdyż zwierzę ani drgnęło, tylko padł, jak kłoda, u nóg jego.

Ochłonawszy nieco ze wzruszenia, Henryk zaczął rozpamiętywać wszystkie przygody, które tak szybko po sobie następowały i teraz dopiero zatrwodził się o Williama. Nie wiedział, co się z nim stało, ale sama nieobecność jego dawała do myślenia. Henryk był szczerze przywiązany do ciotecznego brata, zapomniał więc w tej chwili o tryumfach myśliwskich, o współzawodnictwie, nie schylił się nawet po piękne rogi antylopy, których tak gorąco pożądał, i przedewszystkiem pośpieszył odszukać Williama.

Przypominacie sobie zapewne, że Henryk biegnąc na ratunek psa, walczącego w wodzie z antylopą, wypuścił z rąk uzdę swego konia. Ale poczciwe zwierzę nie skorzystało z tego, aby użyć swobody i nie odbiegło nigdzie, wkrótce też młodzieniec napotkał je w tym samym miejscu, gdzie je był zostawił.

Jedna jeszcze okoliczność niepokoiła Henryka: w chwili, gdy zadawał ostatni cios antylopie, usłyszał był wystrzał niedaleko i poznał odgłos strzelby Williama. Co mógł znaczyć ten wystrzał? czyżby William miał gonić którą z pozostałych antylop? A może był w niebezpieczeństwie i wzywał ratunku? Ta myśl coraz większą obawę w nim budziła.

(D. c. n.).

ROZMAITOŚCI.

Wyczytaliśmy w dziennikach wzruszającą wiadomość o bohaterstwie młodej dziewczyny. Takie opowiadania prawdziwe zawsze są daleko więcej zajmujące od zmyślonych, dla tego powtórzymy je wam bez żadnej zmiany. Anna Loftus, licząca lat szesnaście, wśród nocy ledwie z życiem uszła z palącego się domu w Stockporcie (w Anglii). Znalazłszy się już na ulicy, przypomniała sobie, że w mieszkaniu, które ogarnęły płomienie, pozost-

stała siedmioletnia siostrzyczka. Błagała więc mężczyzn, którzy stali w pobliżu, aby pośpieszyli dziecku na pomoc, ale nikt nie chciał narażać własnego życia, gdyż niebezpieczeństwo było widoczne. Nie namyślając się więc długo, młoda dziewczyna umaczała szybko chustkę swoją w wodzie, otuliła się nią i po chwili zniknęła w płonącym domu. Wszyscy świadkowie tej sceny w najwyższym stopniu byli zaniepokojeni o los dziewczyny, ale po upływie kilkunastu sekund, Anna ukazała się znowu, niosąc małą siostrzyczkę na ręku. Jak tylko złożyła dziecko w bezpiecznym miejscu, siły ją opuściły i omdlała. Musiano bohaterką dziewczynę odnieść do szpitala, gdyż miała twarz i ręce mocno poparzone; lecz szybka pomoc lekarska usunęła wszelkie niebezpieczeństwo.

Objaśnienie.

Opisując w N-rze 19 naszego Pisma klejnoty elektryczne, zapomnieliśmy wspomnieć o rysunku przedstawionym z boku, na prawo. Starsi czytelnicy domyślili się i sami zapewne, że mały ten rysunek wyobraża przyrząd, wprowadzający w ruch zajączka, przecięty, ażeby można było zobaczyć umieszczony w środku małej skrzyneczki stos elektryczny, z węgla i cynku złożony.

S Z A R A D A (Różia D.).

Pierwszy ptak — jego ziomkowie
Pod indyjskiem niebem żyją;
Prześliczne go pióra kryją,
Pyszny ogon, czub na głowie.
U każdego w końcu pióra
Błękit, złoto i purpura;
Oczy żółte, czarne nogi,
A przy nogach dwie ostrogi;
Piękna cała toaleta.
Sprowadzony w nasze strony,
Z naszym ptactwem sprzyjażniony,
Zdobi ogród i siedzibę.

Drugie trzecie składa rybę —
Nieszczęólna jęj zaleta,
Lecz na zimno, octem zлана,
Na śniadanie pożądana.

Wszystko razem jest kobieta.

Zagadka głoskowa.

• • • • •
u l a r n a b a k
r e w a a w r n l
a p ó g i e ó t e
• • • • •

Dodać litery na miejscu kropek, tak, ażeby utworzyć w kierunku pionowym 9 wyrazów, a z dodanych liter znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Zadania konikowego:

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam, jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.

* * *

Lecę — gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę;
Piękność, miłość, czucie, wiare,
Na ogniwo spajam złote.

Bohdan Zaleski.

Kryptografu:

Darowanemu koniowi nie zaglądać w zęby.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Mani P. w Włocławcu. Już oddawna nie otrzymaliśmy żadnego liściku od miłej naszej korespondentki; żałujemy niezmiernie że ostatni zaginął na poczcie, bo takie życzliwe i uprzejme liściki wielką są dla nas przyjemnością. Osoba, która miała się zgłosić do redakcyi po historią, nie przyszła wcale i musieliśmy drugi tomik powtórnie wysłać pocztą, chociaż był już raz wysłany i zapewne zaginął, podobnie, jak liścik. Zagadki są wyborne, chociaż parę drobnych omyłek musieliśmy w nich sprostować, i zwracamy uwagę, że litera *j* nie może zastąpić litery *z*, ani litera *z* litery *z*. Ale na drugi raz łatwo będzie się tego ustrzedz, a pomysł jest bardzo dobry. Obie niezadługo będą drukowane.

Jerzemu K. w Woli. Odczytaliśmy z przyjemnością trafne rozwiązanie zadania konikowego, napisane starannie, bez żadnej omyłki.

Maryni Ch. w Grodnie. Odpowiedź na pierwszy liścik była zamieszczona w N-rze 18 Pisma. Odpowiedzi muszą się troszkę opóźnić dla tego, aby Pisemko w porę dochodziło rąk kochanych naszych czytelników; nie możemy też druku odkładać do ostatniej chwili. Ale co się odwlecze, to nie uciecze i nigdy tak miłych liścików nie zostawiamy bez odpowiedzi. Rozwiązanie łamigłówek tą razą jest zupełnie trafne.

Zosi R. w Żytomierzu. Tyle teraz kochanym czytelnikom podajemy w Pisemku naszym scenicznych obrazków, że mają w czym wybierać. Historyczne są także bardzo stosowne do przedstawienia domowego; ubiory dadzą się urządzić bez wielkich trudności, a deklamacja wierszy jest bardzo pożyteczna, każdy powinien za młodu wprawiać się do tego. Będziemy także zamieszczali komedijki prozą pisane, ażeby wszystkim dogodzić

WSCHÓD SŁOŃCA.

SŁOWA

F. Lenartowicza.

Muzyka J. Czubskiego.

Allegretto.

p Na wscho-dzie świ - ta prze-śli - czna zo - rza Ru - mie - ni zbo - za
Od kro-pel ro - sy tra-wa się sła - nia krów - ki po - ga - nia

p

psze-nicz - ki ży - ta sło - ne - czko wsta - je zło - ci liśc drzew.
Pa-stu - szek bo - sy I wi - ta ran - ną mo - dli - twą świat.

tr *pp* *tr*

O - ży-wia ga - je pta - szy - ny śpiew. *f* O - ży-wia ga - je *p* pta - szy - ny śpiew.
Naj-świę-tsza pan - no strzeż mo-ich lat Naj-świę-tsza pan - no strzeż mo-ich lat.

diminuendo. *pp* *diminuendo.*